

Fragment utworu w przekładzie

Anna Maschik

Wenn du es heimlich machen willst, musst du die Schafe töten

Luchterhand Literaturverlag, München 2025
ISBN 978-3-630-87814-0

Str. 30-40

Anna Maschik

Jeśli chcesz zrobić to po kryjomu, musisz zabijać owce

Przekład: Małgorzata Gralińska



ANNA MASCHIK

JEŚLI CHCESZ ZROBIĆ TO PO KRYJOMU, MUSISZ
ZABIJAĆ OWCE

Georg sprowadził na świat mnóstwo owiec, świń, krów, a całkiem niedawno konia. Pewnie wygląda to podobnie, myśli, lecz wcale tak nie jest. Akuszerka raz po raz wysyła go po gorącą wodę, która potem stoi w wiadrach obok łóżka i niepostrzeżenie stygnie. Georg nie może się pozbyć podejrzenia, że Anna tylko dlatego posyła go po wodę, żeby jej nie zawadzał. To mu akurat odpowiada. Nie śpieszy się więc, a kiedy woda zaczyna gotować się w kotle, zagląda do owczarni, gdzie długo przyglądają mu się owce. Gdy krzyki Henrike wreszcie milkną, raptem nastaje cisza. Anna klepie noworodka po plecach, z jego gardła jednak nie wydostaje się żaden dźwięk.

Dom obmywaczki zwłok stoi przy Zachodniej Ścieżce z widokiem na strumień, w otoczeniu cytrynowych drzew, które mimo mroźnych zim i umiarkowanego lata przez cały rok rodzą połyskujące owoce. Nora odpowiada we wsi za śmierć. Ludzie, spotykając ją na ulicy, uprzejmie kiwają głowami, z nadzieją, że dziś nie zapuka do znajomych drzwi, a kiedy Nora przestępuje próg czyjegoś domu tuż po akuszerce, w wiosce zalega dziwna cisza. Tak jak tego dnia, gdy Anna i Nora stoją po lewej i po prawej stronie łóżka Henrike, która przyciska nowo narodzonego syna do piersi. Anna w jasnoniebieskim fartuchu – z jego kieszeni wystają zakrwawione płótna – Nora natomiast w długiej, szerokiej szacie, która roztacza usypiający zapach lawendy. Nora obrzuca spojrzeniem instrumenty Anny rozłożone na stole i przychodzi jej do głowy, że droga do życia jest znacznie trudniejsza niż ta na drugą stronę. W swojej torbie ma jedynie mydło i ręczniki, trochę pudru, przybory do szycia i akty zgonu. Kiedy spostrzega, że klatka piersiowa dziecka równomiernie unosi się i opada, wie, że na razie nic tu po niej. Obie kobiety, ramię w ramię, wychodzą z domu i zostawiają wyczerpaną Henrike, zdeorientowanego Georga i spokojnie śpiące niemowlę.

Po okolicy prędko roznosi się pogłoska, że Henrike urodziła zakłęte dziecko, które nie chce się obudzić. Mijają godziny, potem dni i tygodnie, w końcu lata, a chłopiec – nazywają go Benediktem – nie otwiera oczu.

Henrike kilka razy na dzień odrywa się od pracy, przychodzi do domu i nasłuchuje miarowego oddechu dziecka. Przez te wszystkie lata nieustanny wdech i wydech stały się dla niej tajemnym językiem. Zaczęła rozszyfrowywać tchnienia alfabetu Morse'a składającego się tylko z dwóch znaków: unoszenia się i opadania klatki piersiowej Benedikta – ciąg sygnałów zawsze jednakowej długości, w którym Henrike próbuje odszukać zaszyfrowanych wieści. Naraz jednak dopada ją przeraźliwa pewność, że, jeśli dłużej będzie się przysłuchiwać synowi, on w każdej chwili może przestać oddychać. Wychodzi więc z pokoju i zamyka za sobą drzwi, tak cicho, jak wtedy, gdy nie chce się zbudzić dopiero co uśpionego dziecka.

Wieczorami przysiadła na brzegu jego łóżka, głaszcze go po włosach i śpiewa po cichu kotysankę, rankiem zaś nachyla się nad nim, żeby obudzić go pocałunkiem. Oczy Benedikta jednak wciąż pozostają zamknięte i, nawet jeśli coś mu się śni, to na jego twarzy nie widać najmniejszego poruszenia.

Chłopiec przypomina Henrike najmłodszego z braci. Miał akurat cztery lata, gdy umarła matka. Nie umiała się nim wystarczająco dobrze zaopiekować, choć przecież był to jej obowiązek – jako starszej siostry i jedynej matki, którą naprawdę znał.

Kiedy w gospodarstwie pojawia się pastor i radzi pobłogostawić Benedikta oraz poprosić Pana, żeby wyswobodził jego duszę z ciała, Henrike jeszcze tego samego dnia występuje ze wspólnoty parafialnej. Duchowny, młody, gorliwy człowiek, także nazajutrz

staje na progu i mówi, że dusza nie może odejść w pokoju, jeśli matka tak kurczowo się jej trzyma. Henrike przepędza pastora. Myśli, i dobrze, ma nie odchodzić, będę ją tutaj przytrzymywać z całych sił.

Oddanie, z jakim żona poświęca się śpiącemu dziecku, sprawia, że Georg czuje się nieswojo. Można odnieść wrażenie, że Henrike w ciągu tych lat traci coś ze swej surowości, jest jak lunatyczka, niezakorzeniona w świecie. Wydaje mu się niemal, że to ona nie budzi się ze snu. Kiedy się do niej odzywa, Henrike długo nie reaguje, a potem przestraszona, jakby wynurzała się z odmętów, jej spojrzenie szuka oparcia w przestrzeni.

Gdy pewnego razu Georg jej oznajmia, że być może to prawda, co mówią inni, że to chyba nieprawdopodobne, żeby dziecko się jeszcze obudziło, Henrike aż do jesieni nie zamienia z nim ani słowa. I tak mijają lata, Benedikt śpi, rośnie, wygląda zdrowo, zupełnie jak najzwyczajniejsze dziecko, które właśnie wróciło z dworu po zabawie i położyło się na poobiednią drzemkę, spokojne i wolne od najmniejszego uszczerbku.

Co Henrike śpiewa przy łóżeczku Benedikta:

Na koniec weź bez gniewu
Z padołu nas ziemskiego
Przez łagodną śmierć!
A kiedy nas stąd weźmiesz,
Pozwól nam mieszkać w niebie,
Panie i Boże nasz!¹

Albo:

Cii, cii, cii, bo Dzieciątko słodko śpi!
Bramy niebios otwórz raczyć,
Kiedy przyjdzie śmierć zobaczyć.
Cii, cii, cii, bo Dzieciątko słodko śpi!

Albo:

Dobrej nocy, śpij już,
Zmruż twe oczki, zmruż,
Bo i ptasząt zamilkł śpiew,
Wśród cieniu tych drzew
Gdy Bóg da, jutro znów

¹ Matthias Claudius, *Pieśń wieczorna*, w: *Ciemne źródła. Niemiecka poezja klasyczna*. Wybrał i przełożył Andrzej Lam, Warszawa 2017, s. 115.

Wstaniesz wesół, zdrow!²

² *Pieśń nad kotyską* Johannes Brahmsa, słowa polskie: R. Nowiny.

Co Henrike śpiewa po kryjomu przy łóżeczku Benedikta:

Żeś najmilejszy mój, wiesz przecie dobrze sam.

Mam osiem lat, kiedy po raz pierwszy słyszę kołysankę. Nocuję u koleżanki, jej mama śpiewa młodszej siostrze, która śpi w tym samym pokoju. Śpiewa: „Dobrej nocy, śpij już“. Śpiewa: „Gdy Bóg da, jutro znów wstaniesz wesół, zdrow!“ A potem wychodzi z pokoju. Nie śpię, leżę z szeroko otwartymi oczami i myślę, a co, jeśli jutro nie da.

Drugie dziecko Henrike rodzi się z rumianymi policzkami i zaciśniętymi piąstkami. Kiedy Anna staje na progu z czarną torbą, niemowlę jest już na świecie. To dziewczynka, której dają na imię Hilde. Henrike przygląda się okrągłej buzi z promiennie niebieskimi oczami i czuje, jak narasta w niej złość, że oto widzi kolor oczu tego dziecka, zanim dowie się, jakie oczy ma jej syn. Myśli, szkoda, że to dziewczynka, będzie jej trudniej niż chłopcu, będzie musiała rodzić, żywić i wiele na tym świecie znosić, ale na to już ją przygotowuje. Znosi noworodka do łóżka Benedikta i mówi, popatrz, to twój brat, pilnuj go i zawsze się o niego troszcz, bo to ktoś wyjątkowy.

Georg ma nadzieję, że drugie, zdrowe dziecko wybudzi Henrike z somnambulicznego stanu. Myśli, jak dobrze, że to dziewczynka, będzie jej lżej niż chłopcu, nie będzie musiała wykonywać najcięższych prac w gospodarstwie ani iść na wojnę, jeśli ponownie zajdzie taka potrzeba. Kobiety w mieście, jak słyszał, uczą się teraz na uniwersytetach. Georg widzi po córce, że jest mądra i żądna wiedzy, i to już od najwcześniejszego dzieciństwa, gdy siedzi mu na ramionach z oczami ciągle utkwionymi w horyzoncie. Nie będę cię zatrzymywał, obiecuje jej, nie musisz zostawać w ciasnym, wiejskim świecie jak twój brat, ty nie.

Skóra babci Hilde jest niczym przezroczysta folia naciągnięta na pierś z kurczaka. Myślę, że łatwo może się rozerwać. Co roku w Boże Narodzenie babcia płacze. Potem płacze zawsze, kiedy się żegnamy.

Dom babci zamiast adresu ma nazwę. Jest niski i podłużny, wyposażony w małe okna i grube ściany. Wewnątrz nawet latem jest ciemno i chłodno, a kiedy człowiek wejdzie do środka ze słonecznego ogrodu, przez kilka sekund widzi przed oczyma tańczące punkciki. Babcia siedzi w bujanym fotelu pośrodku salonu. Lubi mieć wszystko w zasięgu wzroku. Dzięki temu zawsze wie, gdy ktoś zapomni o czymś przy nakrywaniu do stołu albo źle zarygluje okiennice. Naprzeciwko babci znajduje się telewizor, w którym po południu nadają jej program. Zawsze mówimy tylko „jej program“. Babcia słyszy, kiedy w kuchni ktoś nie domknie drzwi od lodówki, ale swój program może oglądać wyłącznie z dźwiękiem rozkręconym na cały regulator.

Obok telewizora, w równych rzędach, wiszą fotografie w ramkach. Nowsze wyszukała mama, po jednym wizerunku każdego członka rodziny. Te, które wybrała babcia, wszystkie pochodzą z dawnych czasów: gospodarstwo pradziadków i dach zastaniający oczy domostwu, wujeczny dziadek na pierwszym traktorze we wsi, babcia jako młoda kobieta z eleganckim wózkiem dziecięcym, Morze Północne. Do każdego zdjęcia babcia opowiada jakąś historię, najczęściej od razu dwa albo trzy razy z rzędu. Kiedy zaczynam się nudzić, pytam ją o inną fotografię. Podoba mi się ta

zabawa: każde zdjęcie jest jak okienko, które mogę otworzyć i zobaczyć, co się za nim kryje.

Często całymi tygodniami jestem sama u babci. Chodzi o kulach, a kiedy podejdzie się do niej zbyt blisko, od razu trzeba coś potrzymać. W letnie poranki siedzi na krześle przed domem i obiera ziemniaki albo marchew. Wsuwam jej wiadro pomiędzy nogi, tak żeby obierki, które w nieskończonych spiralach oddziela od warzyw, mogły wpadać do środka. Muszę nakrywać do stołu, a potem z niego sprzątać. Muszę podnosić to, co spadnie na ziemię. A kiedy robi się pranie w pralce, muszę na niej siadać, żeby się nie przemieszczała i nie tarasowała od wewnątrz drzwi.

Co gotuje babcia:

kurczaka z ziemniakami

pączki z budyniem waniliowym

kiełbaski wieprzowe z kiszoną kapustą

kiszoną kapustę z boczkiem

rosół wołowy

[...]

Hilde jest bystrym dzieckiem, ciągle głodnym. Po narodzinach Benedikta Henrike nie wiedziała, co ma zrobić z całym mnóstwem mleka, teraz się obawia, że nie starczy jej pokarmu dla zachłannego dziecka, które wisi wczepione w nią jak kleszcz w swoją ofiarę. Hilde prawie nie choruje, tylko raz nabawiła się bólu brzucha, a od czasu do czasu miewa gorączkę, która prędko ustępuje. Jest silna i wysoka na swój wiek. Dość szybko zaczyna pomagać matce przy mieszaniu krwi. Za pierwszym razem jest jeszcze tak mała, że Henrike musi jej przynieść stołek, żeby krótkimi rękoma mogła sięgnąć do garnka. Wraz z ojcem każdego ranka pędzi bydło na pastwisko, a po południu zagania je z powrotem do obory. Lubi wielkie zwierzęta o łagodnym spojrzeniu, w przelocie głaszcze ich ciepłą sierść. Czasami Georg sadza ją na grzbiecie krowy, a Hilde, piszcząc z uciechy, wyrzuca w niebo ramiona. Kiedy Georg zwozi siano, córka siedzi na samej górze na wozie, a gdy w weekend ojciec zabiera ją na jarmark do miasta, dziewczynka z szeroko otwartymi oczami spaceruje wśród straganów.

Hilde zaczyna szybko mówić i już wkrótce bez przerwy paple. Wymyśla fantastyczne historie o domach, które nocą czmychają na długich pajęczych nogach, albo o wilkach, które idą z bronią na polowanie. Georg lubi słuchać córki, nazywa ją czule „gazetą“. Henrike nazywa ją kłamczuchą i wymierza jej kilka uderzeń warząchwą, wciąż gorącą od mieszania w zupie.

Henrike kręci nosem, gdy Georg się upiera, że Hilde nie może opuszczać lekcji, nawet w czasie siewu czy żniw. Kobieta powinna nauczyć się czytać, pisać i liczyć, żeby dać sobie radę w świecie, ale więcej jej nie trzeba. Już wkrótce dziecko wraca do domu z grubymi książkami – bierze je nie wiedzieć skąd – wieczorami zaś Georg i Hilde siedzą długo przy stole kuchennym i rozmawiają o rzeczach, które Henrike wydają się obce i nieistotne. Pobrzękuje głośno naczyniami, a potem niepostrzeżenie idzie spać.

Szkoła znajduje się przy Wschodniej Ścieżce, nieopodal głównego placu. Składa się z jednego dużego pomieszczenia, w którym siedzą dzieci w różnym wieku, ma dach z szarych cegieł, wysokie okna i dużą zadaszoną werandę, gdzie, na świeżym powietrzu, odbywają się lekcje w letnie dni. Wówczas nauczyciel wysuwa na zewnątrz ciężką tablicę i za każdym razem wydrapuje w futrynie szramę. Kiedy Hilde przejedzie palcem po ościeżnicy, może policzyć ciepłe dni. W środku podłoga jest wysypana białym piaskiem. Po jasnych śladach piachu, który dzieci noszą na butach, można rozpoznać szlak ich codziennych wędrówek. Gdy Georg chce się upewnić, że Hilde po kryjomu nie poszła na wagary, po powrocie córki do domu ogląda jej podeszwy.

W niektóre poranki Hilde w drodze do szkoły nie skręca za mostem we Wschodnią Ścieżkę, lecz odbija w wąską polną dróżkę. Tornister zostawia za stodołą Sörensena i idzie na przełaj przez pola, aż znajdzie się poza zasięgiem wzroku wioski. Przez nikogo nieobserwowana godzinami przemierza rozległe, zielone równiny. Zatacza pętle i nadkłada drogi, mija zagajniki, pastwiska i strumienie, aż wreszcie traci orientację. W pewnym momencie jednak zawsze staje na morskim brzegu, wystawia twarz na podmuchy wiatru i w zupełnej ciszy spogląda w dal. Krajobraz jest jak wielkie, śpiące ciało, do którego przytula się wzrokiem, a morze to jego oddech.

[...]

Hilde nie rozumie, dlaczego brat się nie budzi. Kiedy pyta o to ojca, ten smutnieje i milczy. Kiedy pyta matkę, Henrike wysyła ją po coś do stodoły. Czasem Hilde jest zła na ten sen, na kołysanki, na szepty rodziców w zaciemnionym pokoju, na sąsiadki przynoszące kosze pełne wypieków i marmolady, których Hilde nie wolno podjadać. Wtedy nocą skrada się do Benedikta – jego łóżko stoi zaledwie kilka kroków od jej własnego – i ciągnie brata za włosy albo kłuje palcem w policzki i w brzuch.

Co Henrike śpiewa przy łóżeczku Benedikta:

Żeś najmilejszy mój, wiesz przecie dobrze sam.
Żeś najmilejszy mój, wiesz przecie dobrze sam.
Żeś najmilejszy mój, wiesz przecie dobrze sam.
Żeś najmilejszy mój, wiesz przecie dobrze sam.
Żeś najmilejszy mój, wiesz przecie dobrze sam.
Żeś najmilejszy mój, wiesz przecie dobrze sam.
Żeś najmilejszy mój, wiesz przecie dobrze sam.
Żeś najmilejszy mój, wiesz przecie dobrze sam.
Żeś najmilejszy mój, wiesz przecie dobrze sam.
Żeś najmilejszy mój, wiesz przecie dobrze sam.
Żeś najmilejszy mój, wiesz przecie dobrze sam.
Żeś najmilejszy mój, wiesz przecie dobrze sam.
Żeś najmilejszy mój, wiesz przecie dobrze sam.
Żeś najmilejszy mój, wiesz przecie dobrze sam.
Żeś najmilejszy mój, wiesz przecie dobrze sam.
Żeś najmilejszy mój, wiesz przecie dobrze sam.
Żeś najmilejszy mój, wiesz przecie dobrze sam.
Żeś najmilejszy mój, wiesz przecie dobrze sam.
Żeś najmilejszy mój, wiesz przecie dobrze sam.
Żeś najmilejszy mój, wiesz przecie dobrze sam.
Żeś najmilejszy mój, wiesz przecie dobrze sam.
Żeś najmilejszy mój, wiesz przecie dobrze sam.
Żeś najmilejszy mój, wiesz przecie dobrze sam.
Żeś najmilejszy mój, wiesz przecie dobrze sam.

Co Henrike śpiewa przy łóżeczku Hilde:

Codziennie po obiedzie babcia śpi dokładnie przez godzinę. Siedzę na podłodze przy jej łóżku i patrzę na nią, dopóki się nie obudzi. Przy akompaniamencie jej chrapania odczuwam śmiertelny strach.

W obecności śpiących robi mi się nieswojo. To zmarli na ochotnika, którzy zostawili mnie samą. Nie mogę podążać za nimi tam, dokąd się udają – nie wybaczę im tego. Najgorszy jest ich oddech. Nie przypomina oddechu ludzi na jawie, brzmi jak obcy dźwięk, który w ciemności robi się głośniejszy, niczym tykanie zegara – ogłuszające, nawet gdy zegar wisi w innym pokoju, nawet kiedy za dnia nie słychać go wcale albo tylko po cichu.

Kiedy Bendikt otwiera oczy, znajduje się w pokoju pogrążonym w mroku. Siada, porusza rękoma i nogami, ostrożnie kręci głową w prawo i w lewo. Własne ciało wydaje mu się obce, jakby od dawna go nie używał. Rozgląda się, dostrzega krzesło pod oknem z zamkniętymi okiennicami, przez które blade słońce wtyka zakurzone palce. W szafie z lekko uchylonymi drzwiami wiszą ubrania jak na młodą dziewczynę. W nogach jego łóżka stoi drugie, na nim leży nieporządnie rozrzucona pościel. Wszystko wydaje mu się znane, lecz nie swojskie, jak miejsce, które odwiedza się we śnie.

Wstaje ostrożnie i idzie do drzwi. W izbie jest ciepło, w piecu pali się ogień. Kobieta, odwrócona do niego plecami, stoi przy kuchni. Spod ciasno zawiązanej chustki wystaje kilka posiwiałych kosmyków. Benedikt wie, że matka już od dawna na niego czeka.

Natychmiast rozpoznaje syna. Choć na leżąco wydawał się znacznie mniejszy, Henrike nie żywi najmniejszych wątpliwości. Ma ciemne oczy, tak jak ona, a nie jasne, jak Georg i Hilde. Rzuca mu się na szyję i mówi, nareszcie się obudziłeś, a w duchu myśli, nareszcie nie tylko Georg ma swoje dziecko, w końcu ja też mam własne.

Kiedy Henrike wchodzi z obcym do stodoły i nazywa go jego synem, Georg nie wie, co powinien mu powiedzieć. To przecież nienaturalne, że ktoś nagle się budzi jako młody człowiek, że potrafi mówić i myśleć, jakby gdzieś się tego nauczył. Henrike traktuje syna jak wędrowca, który powrócił do domu. Pojawia się w niej jakiś rodzaj nieznanej łagodności. Tamtego dnia budzi się nie tylko Benedikt – wraz z nim ze snu powstaje Henrike. Georg nie umie jej wybaczyć, że nie potrafi przebudzić się również dla Hilde.

Wieczorem Henrike zaczyna się niepokoić. A co, jeśli Benedikt położy się do snu i znów się nie obudzi przez następne piętnaście lat, a może już na zawsze? Czuje ulgę, kiedy chłopiec oznajmia, że nie jest zmęczony i nie potrzebuje snu, wyspał się chyba za całe życie. Henrike nie wie, co tamtej nocy ani we wszystkie pozostałe noce robi jej syn, i nigdy go o to nie pyta.

Georg czuje się nieswojo, wiedząc, że Benedikt w nocy nie śpi. Zastanawia się, co chłopak robi podczas mrocznych godzin, kiedy inni mają zamknięte oczy. Każdego ranka Georg podchodzi do łóżka syna i stwierdza, że jest nietknięte. Kładzie na poduszce włos, chcąc się upewnić, że Benedikt rzeczywiście nie idzie spać, a rano po prostu nie wstaje i nie ścieli porządnie łóżka. Włos leży dokładnie tam, gdzie położył go Georg.

Kiedy leżę po ciemku w nocy i nie mogę zasnąć, rozmyślam o wujecznym dziadku i wyobrażam sobie, co takiego robi podczas bezsennych nocy. Czy, niczym zwłoki, leży w łóżku z rękoma splecionymi na piersiach, z wzrokiem martwo utkwionym w suficie, i czeka na nadejście rana, czy też cicho pogwizdując, włóczy się po polach, mija przydrożny krzyż i ambonę dla myśliwych? Siedzi w kucki w ogrodzie pomiędzy marchwią, kapustą i burakami? A może liczy owce w owczarni? Czy przy blasku świecy ślęczy nad książką? Albo chodzi od łóżka do łóżka i spogląda śpiącym w twarze, tak jak oni niegdyś spoglądali w jego twarz?

Benediktowi nie przeszkadza, że przespał dzieciństwo, wydaje mu się ono zbędnym i śmiesznym czasem. Dzieci to mali ludzie, bezbronni, a jednocześnie aroganccy. Tego, co przyswajają sobie w szkole, wieczorami przy stole kuchennym uczy go cierpliwie siostra. Mądra i silna jak matka, która przypomina kolumnę. Za to ojciec jest przejrzysty. Nie uchodzi uwadze Benedikta, że Georg po kryjomu kładzie mu na poduszce włos. Chłopiec uśmiecha się z zadowoleniem i zostawia go na swoim miejscu.

Kiedy ojciec wychodzi z nim na pole, wzdłuż drogi ustawiają się grupki: ciekawskie dzieci i ich matki, które przyciskają potomstwo do spódnic, odprowadzają wzrokiem śpiącego chłopca.

Georg uczy Benedikta wszystkiego, co ten musi wiedzieć o pracy na roli. Wspólnie zaprzęgają do pługa dwa konie i ryją w czole ziemi frasobliwe bruzdy, żeby wydobyć na powierzchnię glebę użyźnioną deszczem. Kiedy wszystkie pola są już zaorane, ojciec i syn robią kolejne rundy broną, tym razem, żeby wyrównać wzruszone skiby. Georg prowadzi konie po polu, kręcąc serpentyny, a w tym czasie Benedikt wbija w ziemię drewniane zęby brony. Powtarzają tę pracę trzy razy do roku: wiosną przed zasiewem, potem, żeby przykryć nasiona warstwą ziemi, a ostatni raz jesienią, kiedy bydło spasię ściernisko. Sieją żyto i jęczmień, które rosną na zimnej północy. Benedikt naśladuje to, co pokazuje mu ojciec, rozrzuca siedem ziaren na stopę gruntu. Nasiona muszą padać w takich samych odstępach, nie za blisko i nie za daleko od siebie. Kiedy chłopiec robi się głodny, siada w cieniu na

skraju pola i zjada to, co zapakowała mu Henrike. Chociaż sąsiedzi i robotnicy dniówkowi często mają jedynie suchy chleb, dla Benedikta zawsze znajdzie się ser, wędzona kiełbasa i jabłko. Do tego moszcz w glinianym dzbanie, który dzięki parowaniu pozostaje chłodny aż do południa.

Kiedy w pełni lata zboże jest już dojrzałe, Georg pokazuje mu, jak należy ścinać je kosą. Na kosę zakłada się pałąk – dzięki temu kłosa kładą się łagodnie i nie wysypuje się z nich ziarno. Zboże zostawiają na słońcu do wysuszenia, a potem związują w snopki własnoręcznie skręconymi powrótami. Henrike i Hilde także pomagają przy wiązaniu snopów, a nawet Klausenowie z sąsiedztwa, bo to długa i żmudna praca. Benedikt zwozi snopy do stodoły. Zboże składa się na strychu, a zimą młóci.

[...]

Kiedy Wolfgang idzie rannem do szkoły jest jedynakiem, kiedy wraca do domu, zastaje obcego chłopca.

W drodze powrotnej Wolfgangowi się śpieszy, jest głodny, najszybciej jak tylko się da, chce wyjść do kolegów na placu miejskim. W wejściu do domu z impetem ciska rower o ścianę, aż ten przewraca się z łoskotem. Wolfgang wbiegł już do połowy na

pierwsze piętro, gdy wtem słyszy jęśliwy krzyk i głosy dochodzące z warsztatu. Przez chwilę nasłuchuje, a potem znów pędzi na dół. W warsztacie dostrzega matkę, babcię, jakąś kobietę w jasnoniebieskim fartuchu i to okropne coś. Wolfi, spójrz tylko, to twój brat, mówi babcia. Matka nawet nie podnosi wzroku, jej uwaga jest całkowicie skupiona na tym czymś. Ten obraz zapada Wolfgangowi głęboko w pamięć: matka leży wyciągnięta na warsztacie pomiędzy wiórami i narzędziami. W nogach stoi czarna torba, pod głowę ktoś wepchnął jej niedbale poduszkę, a na brzuchu i udach rozpostart prześcieradło. Wolfgang widzi imadła przykręcone po bokach stołu i myśli, że w ten sposób unieruchomiono matkę ręce i nogi, żeby nie mogła się bronić. Na ścianie nad jej głową widzi wiszącą piłę, i myśli, tą piłą przecięto matkę na pół, tak jak kobietę, którą w ubiegłym roku oglądał na jarmarku podczas pokazu iluzjonisty. Rozpiłowano matkę niczym pień drzewa, a ze środka wycięto drewniany krążek. Potem przy użyciu struga i papieru ściernego nadano mu kształt, żeby przypominał dziecko. Wolfgang wie, że ojcowie wpychają w matki dzieci, w końcu nie jest głupi. Emilowi w zeszłym miesiącu urodziła się siostra, przyjaciel mu o wszystkim opowiedział. Do tej pory jednak nie miał pojęcia, jak dzieci na powrót wychodzą z matek. To przerażające. Wolfgang postanawia, że nigdy tego ojcu nie wybaczy. Matce zresztą też nie, bądź co bądź to ona sprowadziła ojca do domu.

Chodź, babcia nie daje za wygraną, nie chcesz zobaczyć brata z bliska, ma na imię David, możesz go potrzymać. Na te słowa

przerażona matka podnosi wzrok i przyciska to coś jeszcze mocniej do piersi. Wolfgangowi przychodzi do głowy, że jest jak wtedy, kiedy w gospodarstwie na północy zjawiał się ojciec, a matka nagle stała się kimś innym. To nie jest mój brat, mówi. To tylko kawałek drewna.

Wolfgang przygląda się lalce, którą matka przywiązała sobie na plecach. Wygląda na bardziej dopracowaną niż wtedy na warsztacie, jakby matka po kryjomu ją doszlifowała i wycyzelowwała. Lalka została wystrugana z gładkiego, jasnego drewna, piękniejszego niż to, z którego zrobiono meble w mieszkaniu. Ma wydęte policzki i wykrzywione, różowe wargi, usta ułożone w dzióbek. W Wolfgangu budzą one wstręt, bo wiecznie ssą albo krzyczą. Lalka potrafi z brzękiem otwierać i zamykać oczy – w tym celu umieszczono jej na karku dźwignię. Można przekręcić jej głowę kilka centymetrów w prawo lub w lewo oraz poruszać nogami w biodrach i w kolanach, a rękoma w ramionach i w łokciach. Małe dłonie ma zaciśnięte w pięstki. Matce najlepiej udały się włosy, przypominają włosy człowieka – ciemnobrązowe i

niezwykle miękkie. Wolfgang z przerażeniem myśli o prawdziwym dziecku, któremu zerwano z głowy meszek, żeby nałożyć go temu czemuś, co podobno jest jego bratem.

Matka wcisnęła lalkę w granatowe marynarskie ubranko z odprasowanym białym kołnierzykiem i marynarską czapkę. Czasem też wkłada jej spodenki na szelkach w niebieskie i czerwone paski. Na nogach lalka ma nawet maleńkie buciki ze sznurówkami, które matka z nabożeństwem zawiązuje. Dorośli wciąż mówią, jaki to schludny, porządny i ładny chłopczyk. Wolfgang myśli, że gdyby miał takie buty, też na pewno byłby śliczny i porządny, nie biegałby bez przerwy z pozdzieranymi kolanami i lepкими palcami. Gdyby nosił takie marynarskie ubranko zamiast wciąż tych samych skórzanych portek, już całkiem sztywnych i o wiele za dużych, bycie idealnym dzieckiem przychodziłoby mu bez trudu.

Czasem gdy Konrad nagle odwraca się w stronę Wolfganga, natrafia na zimne spojrzenie chłopca. Zaczyna się go wtedy bać. Konrada niepokoi, że nie wie, co działo się z dzieckiem w pierwszych latach życia, nie ma pojęcia, co opowiadano mu o ojcu. Kiedy na świat przychodzi David, Konrad czuje ulgę, że ma syna, którego zna od samego początku i który będzie w nim widział ukochanego ojca, a nie intruza. Myśli, to mój syn, przekażę mu wszystko, co wiem, nie będzie dla mnie obcy, on nie.

.....